

MINIATURE





MAREK BRAND

Blokada

Dziesięć zapowiadał się przepiękny. Słoneczko omiatało swoimi promykami wierzchołki drzew. W taki piękny dzień nie można siedzieć w domu. Ogryzek z Sępiem Nosem postanowił zobaczyć jak wygląda las z drugiej strony. Nabił fajkę i ruszył w podróż. Nie uszedł jeszcze kilkunastu metrów, kiedy wyrosły przed nim dwa borowiki.

– Przejścia nie ma – poinformował jeden z nich.

Borowiki uzbrojone były w świerkowe igiełki.

– Zniknęło? – spytał ogryzek zdumiony.

– Co zniknęło? – teraz Borowiki się zdumiały.

– No przejście?

– Nie, nie zniknęło, tylko nie ma.

– Dlaczego?

– Bo blokada. My blokujemy – powiedział chudszy.

– W jakim celu?

– Blokujemy politycznie – grubszy poprawił kapelusik.

– Rozumiem – pokiwał Ogryzek.

– Bo wiesz, tak nie może być. To nie jest w porządku.

– No pewnie – potwierdził Ogryzek, chociaż nie wiedział o co chodzi.

– Nie twierdzimy, że jest katastrofa, ale takie muchomory nic nie robią, a jakie stanowiska zajmują w lesie. A jakie mundury mają. A my tylko do zupy lub do kotleta. Przejścia nie ma.

Ogryzek zawrócił. Niestety wycieczka musi poczekać. Kiedy już był przed domem, spotkał Reba Apelmanna. Opowiedział mu wszystko.

– Ty wiesz co? – powiedział Apelman – Tu wcale nie chodzi o zupę, tu idzie o sos.

– Jak to o sos?

– O sos grzybowy. Pójdę i porozmawiam.

Ogryzek ruszył za rabinem. Apelman zbliżył się do Borowików. Szepnął im coś na ucho. Borowiki zaczęły mówić jeden przez drugiego. Rabin machał rękoma. Po chwili cała trójka milczała. Ogryzek podszedł do nich

– No to jak z blokadą – spytał.

– Widzisz, mamy problem. Rabin nam uświadomił, że mamy rację i słusznie blokujemy, ale powiedział tak. *Wy tu sobie blokujecie, a jak przyjdzie Mesjasz, to powiecie mu przejścia nie ma?* No więc uradziliśmy, że robimy przerwę. Poczekamy – jak tylko Mesjasz przejdzie, to blokujemy dalej.

Dżdżysty dzień

Tego dnia Słońce postanowiło wziąć urlop.

Rano pojawiło się na nieboskłonach i powiedziało do zaspanych handlarek:

– Pocałujta mnie w... – po czym udało się na zasłużony wypoczynek.

– Jak ono nie ma zamiaru świecić, to ja nie będę lał – szepnął Deszcz.

Zrobiło się nijako bez Słońca i Deszczu.

– A co to ja, na akord robię? – Wiatr był wściekły – Wszyscy mają w dupie robotę, ja też mam.

I sfrunął sobie w zaciszny lasek.

– Co teraz? – spytał Ogryzek z Sępiem Nosem.

– Nic – odpowiedziała Wrona – Będzie dżdżysty dzień.

I rzeczywiście był.

Ogryzek wybrał się na spacer. Za zakrętem spotkał Rabina Apelmanna.

– Shalom Alejchem – przywitał go Rabin.

– Niech będzie – rzucił Ogryzek.

– Co znaczy: „niech będzie”? Jak mówię, że jest, to się rozumie, że jest – Rabin nastawiony był filozoficznie.

– To niech mi Rebe powie, czemu ja jestem Ogryzek?

– Czemu ty jesteś Ogryzek?

– No właśnie, to ja się pytam.

– On się pyta, czemu on jest Ogryzek – Apelman poprawił okulary. – A dlaczego ja jestem Rabin?

– No właśnie, dlaczego Rabin jest Rabin?

– A skąd ja mam wiedzieć? – Rebe zaczął się irytować.

– To kto ma wiedzieć, się pytam, kto?

– No właśnie? Kto to wie?

Rabin Apelman zastął w miejscu. Ogryzek

- postał przy nim kilka minut, po czym ruszył dalej. Spotkał Wronę
- Ty i ta twoja nihilistyczna filozofia – przywitała go – Teraz Rabin będzie stał tak trzy godziny, zupełnie jak ostatnim razem, kiedy zapytałeś go dokąd idzie.
 - Cóż, taki mamy dżdżysty dzień – filuternie powiedział Ogryzek.

Podróż

Rebe Apelman został zaproszony do swojego ciotecznego brata, księdza Andrzeja.

- Czegoś tu nie rozumiem – mówił Ogryzek z Sępiem Nosem – niby brat a ksiądz.
- To przecież nie ważne wyznanie – ważne na jakiej niwie się pasie trzody.
- Jakie trzody? – nie rozumiał Ogryzek.
- Wrona zostaje gospodarzyć – zawyrokował Rebe. – Pamiętaj, podlewać kwiaty, gasić świeczkę, nie odbierać telefonu.
- Przecież Rebe nie ma telefonu – zdziwiła się Wrona.
- Ale gdyby ktoś dzwonił, to nie odbieraj – stanowczo powiedział Rebe.

Rebe spakował swoje okulary, taśes i wyszedł z domu. Ogryzek postanowił odprowadzić Rabina do starego młyna, gdzie czarci mówią dobranoc. Po drodze dyskutowali o fenomenologii stosowanej. Nagle przy czarcim młynie usłyszeli szept:

- Dobranoc. Dobranoc. Oddawać dusze.
- Co to? – spytał przestraszony Ogryzek.
- Nic. To tylko diabli urządzili sobie wieczorek poetycki – odparł Rebe.
- I co?
- Co?
- Co z tym zrobić?
- Nic, niech sobie chłopaki pogadają. Siedzą tu już ze sto lat, nigdzie nie wychodzą. Żeby chociaż telewizor mieli
- A niech to diabli – wykrzyknął nagle Apelman.
- Co się stało?
- Zapomniałem Wronie powiedzieć, żeby nie włączała telewizora.
- Rebe, ty nie masz telewizora.
- Wiem, ale zapomniałem powiedzieć.

Rabin zawrócił do domu, Ogryzek za nim.

Kiedy przybyli na miejsce, aż zastygli z wrażenia. W sypialni siedziała Wrona, oglądała telewizor i jednocześnie rozmawiała przez telefon, zażerając przy



📷 Mirosław Koczkodaj

tym chipsy. Kiedy zobaczyła Rabina powiedziała:

- Telefon do ciebie.
 - Kto dzwoni?
 - Nie przedstawił się, ale mówi, że to ważne. Rabin wziął słuchawkę.
 - Apelman, słucham.
 - No nareszcie – powiedział miły i ciepły głos – Mów Apelman, czego jeszcze nie masz, tylko głośno, bo tu na górze źle słycać.
 - O nieba – jęknął Rabin zrozumiawszy z kim mówi.
 - No na to jeszcze za wcześnie, ale jeżeli chodzi o sokowirówkę lub kuchenkę mikrofalową to nie ma sprawy.
- Rabin poczerwieniał, złapał różgę i wyskoczył z domu. Biegł w kierunku starego młyna. Ogryzek ledwo za nim nadążał. Rabin wpadł do starego młyna. Po chwili z wnętrza rozległy się odgłosy przypominające świst różgi i kozie piski. Po chwili Rabin wyszedł, lekko dysząc z wysiłku.
- Ot żartownisie. Ja im dam podsłuchy.



📷 Ela Kowalik

Ogryzek nie pytał o nic, bo o co miał pytać?

Poezja

Pewnego popołudnia Ogryzek postanowił przejść się po lesie. Włożył płaszczki przeciwdeszczowy i wyszedł z domu. Szedł sobie przez młody zagajnik. Wokół pachniało wiosną. Ogryzek zatrzymał się nad rowem melioracyjnym.

– Co za piękny dzień – powiedział głośno. – Taki dzień warty jest opisania.

I postanowił napisać wiersz. Poszedł więc do Rabina Apelmana.

– Rebe, chciałbym napisać wiersz.

– To napisz – powiedział Rebe.

– Tylko, że nie wiem, jak to się robi.

– Się robi bardzo prosto: się patrzy na przyrodę, się ją odczuwa, potem się nią zachwyca, a w końcu się to opisuje.

– I to wszystko?

– Nu, jest jeszcze coś, ale to coś poczujesz jak zaczniesz pisać.

– A ty jak piszesz wiersze? – spytał ogryzek
Wrone, którą spotkał na polanie.

– Chodzi o to, żeby się rymowało –

odpowiedział ptak. – Na przykład:

*Kiedy do lasu przychodzi wiosna,
to jestem jakaś taka radosna
Wiosna mnie słucha, ja wiosnę kocham,
Nie jestem głucha, ze szczęścia szlocham.*

Ogryzek wrócił na rów melioracyjny i wyrecytował:

*Stoję tu na rowem, jak nad życiem swoim.
Chciałbym coś powiedzieć, lecz się trochę boję.
Czuję uniesienie, ono drzew już sięga.
Życie, myślę sobie, jest jak czysta księga.*

– I oto chodzi – powiedział czyjś głos.

Ogryzek odwrócił się, za nim stała piękna młoda dziewczyna. Na głowie wianek, w rękę trzymała lirę.

Ogryzek zaniemówił z wrażenia. Dziewczyna złożyła pocałunek na jego czole i znikła. Dopiero wieczorem Ogryzek odzyskał władzę w nogach i mowie.

– Widzisz, Ogryzku, to ogromne przeżycie. To jest właśnie to: spotkałeś muzę Euterpe, a ona dała ci wenę – wyjaśnił Rabin.

– Jestem pod wrażeniem, ale nad rów już nie pójdę. Od tej weny cały zeszytniałem. A nie chce mi się sztywnieć zbyt często.





MAGDALENA RĄCZKO - PIETRASZEK

Słońce zakłète
w opadłych liściach,
palone na stosie
z dymem
wraca do nieba.

W tajemniczym
Jałowców kręgu
Błogie nicnierobienie
Lata zapachów
Spijanie
Zupełne zapomnienie

Myslałam
Historia ludzi
ceglane mury katedr.
Historia morza
kamyki na plaży.
Myliłam się,
Historia morza i ludzi
ceglane serduszko
wyrzeźbione przez fale.

Poranna mgła
osiadła kroplami
na cierniach -
jak krew,
na wierzbowych gałązkach -
jak łzy,
na krzewie dzikiej róży
diamentami się stała.

Wschodzi zimowe
słońce,
księżyc błądy
w szarym błękicie.
Dzień z nocą,
Światło z cieniem
razem
tylko przez chwilę.

Wieczne mgły
Wędrują po stawie
To niebo schodzi
Na ziemię



ARTUR JUDKOWIAK

Dochodziło już południe. Pół godziny temu ochrypli głos w megafonie oznajmił:
Planowy przyjazd pociągu jest opóźniony o czterdzieści pięć minut...

Zapaliłem kolejnego papierosa z pełną świadomością, że ten nałóg kiedyś mnie zabije. Od ponad tygodnia szukałem dogodnego miejsca. Nie bez powodu wybrałem właśnie ten rozjazd. Gdy inne sposoby okazały się nieskuteczne zostało mi zdać się na siły nie zależne ode mnie. wystarczy tylko jedna chwila.

Nerwowo zerkałem na zegarek.

- To niemożliwe! Ten skład nigdy się nie spóźniał nawet o minutę!

Zacząłem tracić zaufanie do PKP. A dopiero



Marek Melaniuk

PECHOWIEC

co odzyskałem je w stosunku do naszej służby zdrowia. Karetka przyjechała do domu w ciągu ośmiu minut. Gdy odzyskałem przytomność, leżałem podłączony do jakiejś aparatury. Dokoła wirowały jasno niebieskie ściany. W ustach tkwiła mi rurka, a gdzieś w środku czułem jeszcze posmak tych żółtych tabletek. Nigdy nie sądziłem, że płukanie żołądka może być takie nieprzyjemne.

Z zadumy wyrwał mnie gwar dochodzący z peronu. Wśród podróżnych panowało wyraźne ożywienie. Spojrzałem w lewo i w dali dostrzegłem niewyraźną postać pociągu. To musi być on. Ekspres Warszawa-Berlin nadjeżdżał. Podszedłem do torów zgodnie z rozkładem jazdy, tor pierwszy przy peronie pierwszym. To miejsce i ten czas. Niewidoczny dla gapiów, zasłonięty jakąś budką, wszedłem na tory i spokojnie położyłem się jakieś 100 metrów za rozjazdem, na wprost wjazdu na peron pierwszy. Czułem coraz mocniejsze drganie szyn. Pociąg zbliżał się do rozjazdu, coraz wyraźniej widziałem czerwony elektrowóz.

Nagle dziwny łoskot, a bardziej odgłos czegoś przesuwanego przeszedł przez metalowy podglówek. W tym samym momencie usłyszałem ten sam ochrypli głos: *Ekspres z Warszawy do Berlina wyjątkowo wjedzie na tor drugi przy peronie drugim. Podróżnych przepraszamy za zmianę.*

Wstałem powoli, mijając wzrokiem wtaczający się na sąsiedni tor pociąg. Byłem brudny, ale nie to było ważne. Wyciągnąłem kolejnego papierosa i wściekły ruszyłem do najbliższego mostu.





NATALIA JULIA NOWAK

Mózgowi Znachorzy

Zadają natrętne pytania,
chcąc poznać najskrytsze obawy.
Traktują jak kłębek problemów,
co szybkiej wymaga naprawy.

Pod dumnym sztandarem terapii
chcą w mózgu dokonać poprawek.
Kozłują zléknionym umysłem
jak jedną z dziecinnych zabawek.

Świadomi swej władzy psychicznej
wciąż syczą: „Zamilczcie! Wy, chorzy”.
Ciekawscy jak panna Pandora,
kochani, Mózgowi Znachorzy.

Nie wiedzą, że zamach na umysł
jest również dla duszy zniewagą.
Oj, płaczę nad całym ich fachem
i groźną, znachorską odwagą

Niedługo z pewnością zamienią
na cztery zdrowaśki swe leki
(Tak działa Mózgowe Znachorstwo
i cały ich system kaleki).

Na krzywym stoliku wyłożą
trzy kupki po sześć kart magicznych,
by lepiej rozpoznać znaczenie
złych głosów i cierpień psychicznych.

Gdy cztery zdrowaśki zawiodą,
rozpoczną terapię wstrząsową.
O ile to zgodne z przesłaniem
i szklanej kuleczki namową

Nie śmieście się, ludzie, z tych strofek,
bo dużo tkwi prawdy w horrorze.
Od wszelkich Mózgowych Znachorów
zachowaj nas dzisiaj, mój Boże



ADAM ŚWIĆ

MAŁE PROZY PODRÓŻNICZE

Odyseja

List

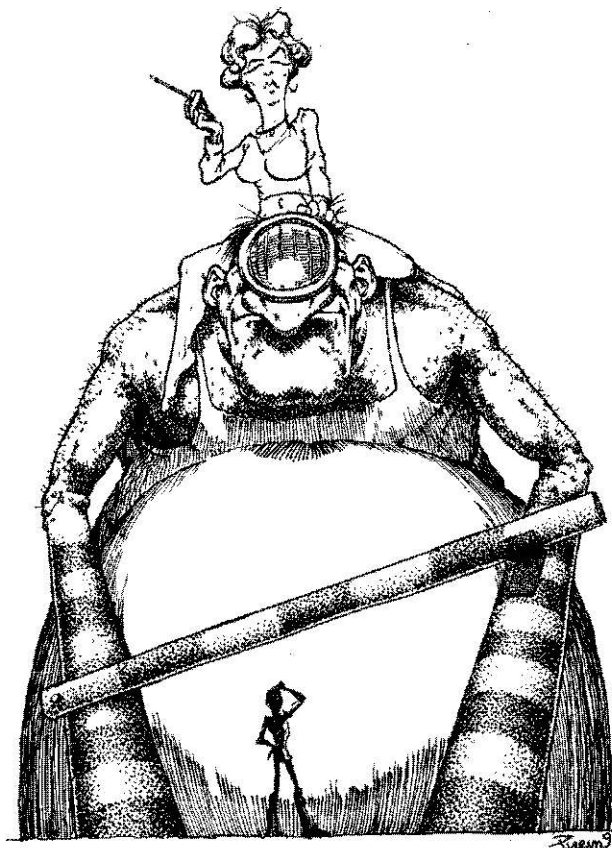
Mariolu! Stoję już piąty dzień na granicy. Nudno jak cholera. Kupiłem sobie dziś w kiosku parę zeszytów z komiksami i czytam. W jednym była historia takiego rycerza - Odysa, co to wracał przez parę lat z wojny i nie mógł wrócić. I, jak Boga Kocham, jakbym siebie widział! A jego żona, Penelopa, czekała w domu obstawionym gachami i się, wiesz Mariolka, nie załamała. Silny charakter miała, całkiem jak Ty. A i on był twardy, chociaż go różne boginki i czarodziejki kusiły. Tutejsze mają po piętnaście lat i chodzą wymalowane jak stare miasto. Już prawie dziesięć dni jadę z tej Turcji. Kumple to już w ogóle się w świnię zamienili i chleją na umór. Wiesz, jakies chamidło wybiło prawy reflektor w moim tirze i się wkurzam, bo nie ma

części. Ten Odys też się męczył z olbrzymem z jednym okiem. Śmieszne, co? Na dodatek po trasie dwóch celników się do mnie przyczepiło. Normalnie potwory jakies. Nic mi się w tej drodze nie udaje, jakby ktoś celowo przeszkadzał. Ale nie długo będę w domu i, bez żartów, lepiej żebym nikogo w szafie nie znalazł, bo zabiję. Tyle mnie nie było, że nie wiem, czy chałupę poznam. Nigdy już nie biorę trasy z koniną w puszkach, bo to pechowy towar. Tęsknię. Ucałuj Tomka. Marian.

Syreny

Starożytni Grecy koloryzowali rzeczywistość.

Dosłownie i w przenośni. Mało kto wie, że swoje piękne rzeźby - posągi ludzi i bóstw - pokrywali krzykliwymi kolorami. Na szczęście farba dawno się złuszczyła i do naszych czasów dotarło ich marmurowe piękno, które zwykliśmy nazywać klasycznym. W swoich mitach z kolei Grecy przedstawiali syreny jako cudowne półkobiety z rybim ogonem, wodzące na pokuszenie żeglarzy niezwykłym śpiewem. Zwierzęta, które dały początek tym legendarnym stworom, nie są ani urodziwe, ani obdarzone pięknym głosem. Manaty, zwane syrenami, to może najbrzydsze z wodnych ssaków. Żyją między innymi u afrykańskich wybrzeży Atlantyku. Manat składa się z obłego kloca tułowia zakończonego z jednej strony małymi oczkami i pyskiem buldoga, z drugiej zaś szerokim, łopatowatym ogonem; do tego dwa kikuty płetw. Waży toto pół tony i, na dobrą sprawę, bardziej kojarzy się z krową niż syreną - pasą się stadami, jedzą wodorosty, syte leżą w płytkich zatoczkach przeżuując pokarm i porykując. Ich skóra jest porośnięta rzadką szczecina, "zarost" jest bujniejszy na pysku. Nigdy nie wypływają daleko od brzegu, mają bardzo słaby wzrok, pod wodą wytrzymują najwyżej kwadrans. Dlaczego właśnie one aż tak poruszyły wyobraźnię,



nawet Homera...Jak wszystkie ssaki karmią swe dzieci mlekiem. Samice manatów mają gruczoły mleczne umieszczone wysoko na piersi, a nie na brzuchu jak u większości ssaków poza człowiekiem. Podczas karmienia matka wynurza się z wody i podsuwa swojemu dziecku wypiętą pierś, przygarniając je płetwowatymi łapami. Wtedy z daleka przypomina karmiącą kobietę, a



wygłodzona wyobraźnia starożytnych żeglarzy, tęskniących za domami, żonami i dziećmi, mogła płatać przeróżne figle...

Z przygód Odysa

To mówiąc ruszyłem w górę do okrętu i morza ze smutkiem żegnając majestatyczne Toczące Się Kamienie. I gdy zbliżyłem się do czarnej nawy, która miała nas zanieść na skalistą Itakę, ujrzałem złotorogiego

Hermesa w postaci bezzębnej staruchy. Świetlisty w gęstym milczeniu wręczył mi duży i ostry harpun oraz trójząb - którym, jak rozumiałem, przyjdzie mi stoczyć jeszcze jedną walkę z jakimś posłańcem Posejdona - i zniknął w nadbrzeżnej mgłę. Gdy nasz okręt niczym chyży delfin rozpruwał już siwe fale, patrzyłem na lot morskich ptaków, by z niego wywróżyć przyszłość. Gdym stał tak zapatrzony w niebo, statek zachwiał się kilkakrotnie jakby od uderzeń kyklopowej pięści. Ścisnąłem w rękach mój oręż. A oto z odmętów wynurzył się wieloryb - olbrzym mistrycznej białości. Lęk ścisnął moje serce i dreszcz zmroził mój kark. Potwór miał w ślepiach wszelkie demonizmy żywota zuchwałe i nieokiełznane, nadprzyrodzone zło i niebezpieczną chytrość. Zamachnąłem się w niego harpunem, ale go tylko zranił. Wieloryb zanurzył się w głębie, lecz ja wiedziałem, że kiedyś powróci, by szukać pomsty na mnie lub którym z moich potomków.

Z notatnika rozbitka

DZIEŃ TRZECI. Tak, ta wyspa naprawdę jest bezludna, a więc...jestem w raj. Ileż razy w zatrutym, zatłoczonym mieście marzyłem o tym, co teraz stało się moim udziałem!

DZIEŃ PIĄTY. Skończyły się kanapki z serem, które Zosia dała mi na podróż. Zostało tylko pięć kotletów sojowych. Co będzie jutro?



DZIEŃ ÓSMY. Głód. Nie wytrzymałem i wygrzebałem kilka korzonków. Dziurę w ziemi założyłem darnią, ale i tak mam moralnego kaca.

DZIEŃ TRZYNASTY. Pierwszy raz rozpałem ognisko. Potem nie mogłem zasnąć. To już nie to.

DZIEŃ CZTERNASTY. Obserwowałem ptaki.

DZIEŃ SIEDMNASTY. Jestem potworem, dziką bestią, jestem... Ten kurak był taki ufny, podszedł do mnie wyraźnie zaciekawiony, a ja... ja... Ukręciłem mu łeb i zjadłem upieczonego na ogniu! W środku mam pustkę.

DZIEŃ DWUDZIESTY DRUGI. Zatłukłem zająca. Muszę nauczyć się przyprawiać takie mięso.

DZIEŃ DWUDZIESTY PIĄTY. Mały jubel: dziczyzna, owoce, relaks. Jak się robi alkohol?

DZIEŃ TRZYDZIESTY. Czuję się coraz lepiej. Za długo byłem życiowym opozycjonistą. Wczoraj znalazłem złoty samorodek. Ciekawe, czy jest tego więcej?

Z Afryki

...i choć nie znałem karabuckiego dość dobrze, zrozumiałem, że zapraszają nas na jakieś wielkie plemienne święto.

Krzyk papugi wbił się kolorowym sztychem w mój poranny sen. Wyplątując się z moskitiery, przypomniałem sobie wczorajsze zaproszenie. OK, pokażemy się tam na pewno, drodzy tubylcy. A wujek Jimi robi przy okazji kilka zdjęć dla "National Geographic" i zarobi parę tysiączków na chlebuś i zimną coca-cole.

O wyznaczonej porze ludzie zebrali się pod totemicznym słupem. Wyległa tam niemal cała wioska - małe dzieci, kobiety z niemowlętami u piersi, nawet bezzębni starcy. Nie było tylko młodych mężczyzn. Jane była tym wyraźnie zaintrygowana. Z małą kamerą przy oku podnieconym szeptem mówiła coś o niesamowitych inicjacyjnych obrzędach wojowników. Po chwili tłum ruszył w stronę polany, śpiewając i pokrzykując rytmicznie. Niektórzy malcy dźwigali z wysiłkiem

duże bębny z wydrążonych pni drzewa uruka. Przetarłem obiektyw. Byłem gotów.

Polana. Kobiety, dzieci i starcy usiedli z boku za linią namalowaną na ziemi. Mężczyźni stali w szeregu na skąpanym w słońcu placu. Po chwili rozbiegli się po nim zajmując pozycje. Usłyszeliśmy przeraźliwy gwizd i... zaczął się mecz.

Wygrali Żonaci 4:2, ale młody Bakulu z drużyny Kawalerów zdobył dwie przepiękne bramki. Stary Morcheeba, ukazując w uśmiechu nagie dżiąsła, powiedział do mnie: - On gra jak Ronaldo, prawda? Przytaknąłem. A zdjęcia opchnąłem "France Footbal" za...

Bangladeszcz

Była to jedna z pierwszych wypraw, w których brałem udział. Miałem wtedy, co za piękny czas!, 19 lat. Już nie pamiętam nazwy tej wyspy na Pacyfiku, ale ochrzcijmy ją roboczko Bangladeszcz, bo okropnie tam padało. Trafiliśmy na niezwykły sąd. W roli oskarżyciela, prokuratora i sędziego występowała cała wioska. Oskarżonym był piekielnie wystraszony, czarny jak heban autochton, który złamał dwa zakazy - tabu: pracował w polu przed południem i chwalił się swoimi zbiorami.

Dopiero później dowiedziałem się, iż mieszkańcy wioski wierzą w to, że rośliny z sąsiednich pól odwiedzają się wieczorami. Stąd zakaz pracy przed południem, by przypadkiem nie zaskoczyć akcją żniwną roślin sąsiada, które to jeszcze nie zdążyły wrócić z wieczornej wizyty. Kto zaś chwalił się wielkimi zbiorami staje się od razu podejrzany o to samo, bo skąd u niego lepsze zbiory niż u innych...? Niechybnie złamał zakaz.

Wyrok był najrozsądniejszy z możliwych. Do dziś nurtuje mnie pytanie, czy oni przypadkiem nie mieli racji...?

Północ

"Hej dziewczynoooo, spójrz na misiaaa./On przypomni, przypomni chłopca ci./Nieszczęśliwegooo białego misiaaa,/który w oczach ma tylko białe łyzy!"



Głośny śpiew brnął po śnieżnym pustkowiu obijając się o lodowe wzniesienia. Anarpi szukał ukojenia patrząc na różowe refleksy polarnej zorzy. Był zdenerwowany. Niczym odrzucony przez samicę mors wypuszczał z nozdrzy kłęby białej pary i pomrukiwał z niezadowoleniem. Fachowcy wykańczający jego letniskowe igloo znowu biesiadowali zamiast pracować. Białe lisy ogryzały focze kości wyrzucane raz po raz przez okienko budowli. Śpiew się wzmagął.

Nie było sensu z nimi dyskutować - ani dziś, ani jutro. Anarpi dobrze o tym wiedział. Zdarzało się, że brali go za wielkiego pingwina, co było szczególnym absurdem, zważywszy na to, że pingwiny żyją tylko na Antarktydzie.

Od początku budowy przesładował go pech. Już przy zakupie cegieł ze zmrożonego śniegu załapał się na wzrost podatku vat, przepłacił też za transport ogromnymi saniami. Materiał okazał się zresztą częściowo wadliwy i nie spełniał wszystkich parametrów: zły współczynnik

przenikania powoduje, że ściany topią się w bliskim sąsiedztwie źródeł ciepła. Kredyt natomiast topnieć nie chciał - stopy procentowe były wciąż tak wielkie jak łapska starego niedźwiedzia. A do tego ci niesolidni wykonawcy...

Wiatr wzmagął się. Anarpi dosiadł skutera i ruszył na południe. Zaklął jeszcze szpetnie w polarną noc. Odpowiedział mu zgłuszony ryk przyjaciół białego misia.

Z przewodnika

NOCLEGI: W sezonie kwatery u grabarza p.Wesołowskiego (kontakt: trzy razy w okienko szopy przy cmentarzu lub przez kancelarię parafialną; niewielkie pokoiki o wesołych kolorach) oraz w zajeździe "Mielony" (15 km żużłową na północny wschód; jest restauracja, ale dobrze jest zaopatrzyć się we własny prowiant). Poza sezonem jedynie w poczekalni PKP (wyjątkowo miła obsługa, WC za budynkiem w lewo, rozkład jazdy niekompletny, można jednak zasięgnąć informacji u dróżnika).

ROZRYWKI: Zabawy taneczne z pokazami walk Wschodu (w każdą sobotę i niedzielę w hallu strażnicy OSP). Podróże retro samochodem dostawczym Gminnej Spółdzielni (wyjazdy wtorek i piątek o 4.15 spod Ratusza).

IMPREZY CYKLICZNE: Trzeci weekend maja - przeglądy orkiestr dętych (w ostatnich latach jedynie wizualne - przemarsz umundurowanych muzyków przez deptak miejski - ze względu na braki w obsadzie większości instrumentów). Koncerty organkowe (lipiec i sierpień na świeżym powietrzu lub na antresoli sklepu "U Joli"). Wrzesień: miejsko - gminny konkurs rzeźbiarski "Chłop Jak Dąb" (w bieżącym roku pod hasłem "Nie mogę być jednocześnie twórcą i tworzywem").





JĘDRZEJ STWEK

Włóczędzy słońca

W słońcu
szukają kawałka cienia
w deszczu
marzą o spoconym czole

bliżej im do słońca,
więc wędrują przed siebie
zapisując przebyte kilometry
na pożółkłych kartkach papieru

i tylko jedno zdanie
powtarzają nieustannie:

„nikogo się nie obawiamy idąc w słońcu,
włóczęąc się po nieznanym”.

Zachód słońca

Mijają świt
zasypiając w wagonie

Budzą się po zmierzchu
by mieć na oku mrok

Patrzą na siebie znudzeni
za chwilę odetchną z ulgą:

Słońce zajdzie na dobre.
Mija kolejny dzień. Jest pięknie.